

Toruń. Rok I /1946/. Numery 3 - 17 z czasu od 14.4. do 21.7.1946.

Romana Cieślik-Cieślowska: "Piekło Oświęcimia".

Roma Cieślik-Cieślowska

Piekło Oświęcimia

1)

Autobus-widmo — Defilada skazańców

Gładką szosą Kraków — Katowice sunie ci-
chutko autobus. Dziwny to autobus w 20-tym wie-
ku, bo na jego widok ludzie zegnają się trwożnie
i uciekają jak przed wściekłym psem. Autobus jest
zapełniony kobietami. Ławki we wnętrzu ustawio-
ne są w kółko ścian, a okna zabezpieczone kratą że-
lazną. Wehikuł prowadzi szofer wojskowy ręką
pewną i zdecydowaną. Przy szoferze z jednej i
drugiej strony siedzą także wojskowi; jest ich czte-
rech a wszyscy z automatami gotowymi do strzału.

W autobusie znajduje się 26 kobiet. Wszyst-
kie bardzo spokojne, lecz w niektórych pięknych
oczach czai się pytanie — dokąd? I usta bezwied-
nie poruszają się, jakby w modlitwie. Są tam star-
sze już kobiety, są niewiasty średniego wieku i zu-
pełnie młode dziewczyny. Jedna z nich — prawie
dziecko — tuli się do sąsiadek, a z oczu jej wзира-
troška o jutro. Wytworna i młoda kobieta z tą sa-
mą troską w oczach spogląda na towarzyszkę, któ-
ra co chwilę zwraca nerwowo głowę do okna i pa-
trzy ze smutkiem na białe płaty śniegu, przesuwają-

jące się za szybami. Topi wzrok w bieli śnieżnej
tak długo, aż zdaje się jej, że autobus stoi w miej-
scu, a śniegowe białe plamy mkną zwartą masą
w bezkresną przestrzeń. Przy jej nogach stoi skó-
rzana walizka z nalepkami hoteli zagranicznych.
znać, że wiele podróżowała. Inne podróżne, mniej
wytworne, patrzą zaszawionymi oczyma w bladą
twarz tej, która z takim spokojem błądzi wzrokiem
po śnieżnych polach, a kiedy oczy ich się spotyka-
ją na chwilę, wytworna kobieta uśmiecha się jakoś
nie naturalnie. Kobiety ocierają ukradkiem łzy
z oczu, szepcą sobie coś do ucha i patrzą w zaśnie-
żony świat, biały a straszny świat 1942-go roku.
Śledzą je bacznie chytre ślepie rosłych chamów,
przyodziaanych i niemieckie mundury wojskowe.

— Dirnen! — syczy jeden z nich przez zęby.

— Dummes Vieh! — dodaje drugi z pogardą.

Nastaje moment grobowej ciszy. Słowa więz-
ną w gardłach grupki kobiet polskich, skazanych na
poniewierkę, mękę, śmierć...

Cisza jest straszna, podobna do tej chwili, kie-
dy pod szubienicą skazańców odczytano już wy-
rok śmierci i zacząć się ma egzekucja. Smutna
rozmowa dusz i bolesna rozmowa oczu trwożnych
wystarczy za miliony słów skargi, żalu i żarliwej
modlitwy.

A auto wciąż sunie naprzód, mijając wioski,
osady i miasteczka, a wszędzie znają je doskonale,
wszędzie ludzie patrzą na nie z trwogą, a twarze

ich bieleją ze strachu. Autobus bez przerwy mknie
dalej. Wewnątrz uparte panuje milczenie.

Nagle autobus opuszcza główną i dobrą drogę
i zwalnia tempa. Nareszcie po dwugodzinnej je-
ździe wpada w bramę, której boczne słupy że-
lazne są pełne żarówek i wijących się drutów elek-
trycznych. W pewnym miejscu zatrzymuje się
autobus, wojskowi wysiadają i kobietom każą wy-
chodzić. Rozkaz ten spełniają one spokojnie, jakby
już wiedziały, gdzie są i poco przyjechały.

Podszedł jeszcze jeden mężczyzna w mundurze
i rozkazał kobietom ustawić się w piątce. Spełniły
jego rozkaz, a on zliczył je, odebrał jakieś papiery
od konwojentów, którzy przyjechali autobusem.
Teraz kobiety ustawione w piątce rozglądają się
ciekawie, lecz wokół widzą tylko białe słupy
oblepione lampami elektrycznymi. Jest taka cisza,
jakby autobus pod ziemię wjechał; nie ma tu ani
jednego żywego człowieka. Wojskowy, który ode-
brał papiery, wszedł spokojnie do małego domku,
nie troszcząc się zupełnie o grupę pasażerek, wśród
których i ja się znajdowałam.

Po dwugodzinnym siedzeniu w autobusie z
przyjemnością wyprostowałyśmy nasze kości i zlu-
strowałyśmy najbliższą okolicę: słupy z żarówkami,
druty kolczaste, niebo i ziemię.

— Tak, to Oświęcim — odezwiała się jedna
półgłosem — tyle o nim słyszałyśmy i tak się bar-
dzo bałyśmy.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Piećło Oświećimnia

2)

(Ciąg dalszy)

— Nie taki diabeł czarny, jak go malują — odpowiedziała druga — choć głos jej drżał z lekka.

Kilka z kobiet zaczęło płakać, a jedna młoda dziewczyna zwraca się do nich:

— Beksy, jak wam nie wstyd, pokazujecie im swoją słabość, a może chcecie, by się nad wami litowano?

Przy tych słowach wskazała ręką na domek, czy też barak.

— Tamci litości nie znają — mówiłam wam już tyle razy. — I tu będziemy jakoś żyły, jak na Montelupi — będę znów kartofle piekła i głodować nie będziecie. Tylko się zbytnio nie martwić!

— Ale za co nas, paniusiu, tu przywieźli? — zaszlochala jedna ze starszych niewiast.

— Za to tylko, żeśmy Polkami, bo dla nas nie ma w Polsce miejsca, bo nasze domy i mieszkania potrzebne są Niemcom. Dla nas miejsce tu za drutami.

— Tak musi być — ośmieliła się druga — in-

nej rady na razie nie ma, a więc głowy do góry i czekać!

Bohatera postawa młodziutkiej kobiety i jej mocne słowa poskutkowały, bo kobiety pokiwaly głowami i przestały płakać.

Po chwili wojskowy wyszedł z baraku, przeliczył nas raz jeszcze, kazał wyrównać i ruszyliśmy dalej. Idąc ulicami, ujrzałyśmy 4 kobiety, wszystkie jednakowo ubrane w sukienkach w niebieskie i szare pasy, w ciemnych fartuchach i białych chusteczkach zawiązanych pod brodą.

— Ach — wyrwało się z piersi jednej z naszych — więc to tak będziemy wyglądały.

Kobiety w pasiakach z ciekawością patrzyły w twarze przybyłych, szukając wśród nich znajomych, lecz nie przemówić nie mogły, bo był przy nich wojskowy. Myśmy szły dalej, aż w końcu zatrzymałyśmy się przed domkiem podobnym do tego, przed którym autobus się zatrzymał, tylko że ten miał nad drzwiami zegar. Wojskowy kazał nam tu stać w piątkach, a sam wszedł do środka. Stoimy bardzo długo, a jego nie ma i nie ma.

Przed nami jest duża brama oblepiona także żarówkami i drutami elektrycznymi, a za tą bramą w odległości dwóch metrów drugie słupy z takimiż lampami i drutami, a pomiędzy jednym a drugim słupami stoi dwóch więźniów na baczność w ubraniach w pasy, w takich samych jak poprzednio spotkane kobiety. Trzymają w rękach pasiaste berety. Do domku, przed którym stoimy, co chwila

ktos wchodzi. Są to przeważnie wojskowi. My stoimy cierpliwie, nikt na nas nie zwraca najmniejszej uwagi. Nad główną bramą wejściową widnieje napis w języku niemieckim: „Arbeit macht frei“ (praca daje wolność). Dalej już poza bramą widać szereg bliźniaczych domków piętrowych, niewinnie wyglądających i nie mówiących, ile w ich ścianach krwi przelano i ile w nich ludzie niewinni przecierpieli!

Ni stąd ni zowąd zjawia się orkiestra, złożona z więźniów, którzy ubrani także w pasiaki, ustawiają się z boku przy bramie na małym placu i czekają. My czekamy także. Z przeciwnej strony bramy widzimy więźniów, idących piątkami ulicą w naszym kierunku. Orkiestra zaczyna grać.

Z domku drewnianego wychodzą wojskowi, jedni przyglądają się idącym a drudzy liczą ich skrupulatnie. Kiedy pierwsze piątki zbliżyły się do bramy podchodzi do wojskowych jeden z żółtą opaską na rękawie, zdejmując beret, staje na baczność i coś służbowo melduje, a piątki w pasiakach wykonują rozkaz „Muetzen ab!“ i idą równym krokiem z odkrytymi głowami, ostrzyżonymi do skóry. Idą więźniowie piątka za piątką, a wszyscy dobrze wyglądają, są dobrze odżywieni. W nas wstępuje na chwilę nadzieja. Pierwsza kolumna przeszła i następuje przerwa, lecz orkiestra gra dalej. Pierwszy oddział dobrze wyglądający znikł już za bramą, na której widnieje wyraźny napis „Arbeit macht frei“.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Piećło Oświećimnia

3)

(Ciąg dalszy)

Nadchodzą drudzy. I od tych odłącza się jeden z opaską żółtą na rękawie i z beretem w ręku, podchodzi do wojskowych i coś melduje. Lecz te piątki nie idą już takim sprzystym krokiem, lecz ciągną nogi za sobą, jak ludzie słabi i chorzy. Na twarzach idących znów znużenie. Pasiaki więźniów są brudne i podarte; na nogach drewniaki — także w bardzo złym stanie. A wlecze się ich tak dużo, w kolumna za kolumną. Wszyscy w więziennych ubraniach. Z każdego oddziału jeden składa raport, a wszyscy zdejmują berety na widok wojskowych ruchem wyćwieczonym.

— Boże! jak oni wyglądają! — wyrwa się wstępnemu bezwiednie z piersi.

Zaczyna nas ogarnąć przerażenie. Ludzie ci są tak chudzi i wynędzniali i tak obdarte, że serce pęka z żalu, gdy się na nich patrzy. Pierwsze oddziały szły dziarsko, drugie już gorzej, a dalsze to już iść nie mogą, a niektórych więźniów wloką towarzysze niedoli lub dźwigają na prowizorycz-

nych noszach. Niosą też umarłych, którym na głowy zarzucono własne płaszcze, aby nie było widać jak wyglądają i jaką śmiercią zginęli. Każdy szereg ustawia się tak, że w pierwszych piątkach znajdują się najsilniejsi i tak stopniowo ustawia się coraz słabszych, a na samym końcu już tych, którzy iść nie mogą, albo już nigdy chodzić nie będą.

— O, nędzo! — wyrwa się okrzyk z gardła — przecież to nie ludzie, to szkielety! To kości pokryte skórą, trzeszczące z daleka! I oni muszą pracować!

Wielu z nich maszeruje zupełnie boso, choć śnieg leży jeszcze na polu, a niektórzy niosą buty zupełnie zniszczone w ręce.

Nie, to nie ludzie, to strzępy ludzkie. To, co mówią na wolności o Oświećimniu, to nie, to ani jedna setna prawdy. Oświećim to piećło, którego się nie da w pełni opisać.

Orkiestra przestaje grać. Defilada żywych szkieletów skończona. Nas zabiera wojskowy i idziemy dalej. Idziemy w lewo, prawo i znów lewo. Droga prowadzi przez zupełnie puste pola, aż wreszcie zatrzymujemy się u bramy, bliźniaczo podobnej do tej, przy której SS-mani odbierali defiladę skazańców. Tu musimy czekać, a wojskowy znika we drzwiach szarego domku.

WSZECHWŁADNE „KARO“.

Czekamy długo, aż nagle wyrasta przed nami kobieta w czarnej pelerynie z psem na smyczy.

Liczy nas raz i drugi, a potem prowadzi za bramę. Idziemy główną ulicą obozu. Po obydwu stronach stoją kobiety w pasiakach, ustawione w piątki, a dalej kobiety szczupłe, wychudzone w zielonych drelichowych ubraniach, z wielkimi czerwonymi krzyżami na plecach, wszystkie zsiniałe z zimna. Niektóre więźniarki z szeregów wołają nas po imieniu lub nazwisku. One nas poznają, a my patrzymy na nie, szukając w pamięci ich twarzy. Nie można ich poznać w takich maskaradowych strojach, z głowami ostrzyżonymi.

Kobiety te stanęły właśnie do apelów, a nas przeprowadzano główną ulicą do baraku dezynfekcyjnego.

Barak ten był bez podłogi, błoto w nim po kostki, tyle że jakieś ściany i dach dziurawy.

Wprowadzono nas do izby, w której były rozstawione wąskie ławki i tu nas zostawiono. Siadaliśmy więc i obserwowaliśmy. Opodal z boku był kran z wodą, lecz tuż obok stała kobieta dziwnie ubrana z kijem w ręku i pilnowała skarbu, aby broń Boże ktoś nie ośmielił się zbliżyć, celem zaspokojenia swego pragnienia. Zaraz za drzwiami stał piec, podobny do wiejskich pieców do pieczenia chleba i tam kobieta rozpałała ogień i przez to para przechodząca przez rury, które umieszczone były pod ławkami, ogrzewała barak i jednocześnie z rur tych wydobywała się na zewnątrz. Kobieta paląca w piecu gotowała sobie zupę.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Piećło Oświećimnia

4)

(Ciąg dalszy)

Do nas zwróciła się, abyśmy jej oddali żywność, bo o ile jutro u nas coś znajda, to dostaniemy po 25 batów. Naturalnie pozbyliśmy się naszych skromnych zapasów i czekaliśmy co będzie dalej.

Pod osłoną nocy odwiedzały nas nasze znajome, które pierwsze przyjechały do Oświećimnia. W nocy przyszedł jeszcze jeden transport z Kiele a później z Lubelskiego.

Tak przesiedziałyśmy w baraku na ławkach do rana i teraz dopiero zaczął się ruch. Najpierw kobieta w mundurze zaczęła spisywać personalia. Długośmy z Zosią myślały, jaki podać zawód, aż w końcu zdecydowałyśmy się na urzędniczkę. Później musiałymy opuścić ławki i iść na korytarz. Tam nas kolejno wpuszczano do izby i odbierano nam wszystko, rozebrano nas i w końcu obcięto nam włosy. Śmiesznie wyglądałyśmy z gołymi palkami.

Kiedy nas obrabowano i ostrzyżono, czekałyśmy jeszcze w bardzo zimnym korytarzu i dopiero po pewnym czasie wpuszczono nas znów do baraku z ławkami. Kobieta przy piecu paliła bez przerwy,

a pary było coraz więcej. Siadłam przy oknie, skąd mogłam doskonale obserwować, jak kobiety w pasiach dźwigały nosze z ziemią, lub cegłą, jak były zrezygnowane i nędznie odziane. Chodziły jak automaty, a tu jedna z boku z opaską na rękę — kijem stale je popędzała i biła. Jakże to okropne! Przecież to już nie ludzie — to roboty!

Kiedy nas dobrze wyparowano, tak że pot spływał po nas strumieniem, a serca chore bardzo dawały się we znaki, że kobiety mdlały, nakazano nam opróżnić barak i my posłusznie schodziliśmy na dół do drugiej o wiele większej izby. Tu kazano nam stanąć pod natryskiem i zimną jak lód wodą, zmywać rozgrzane i spocone ciała. Po tej zimnej kąpieli stałyśmy nago i bosy godzinami, czekając na poszczególne części garderoby. Dopiero wieczorem byłyśmy gotowe do wyjścia, w naszych „wytwornych” strojach, ozdobionych na piersiach numerkiem z czerwonym trójkątem. Jak się w najbliższym czasie przekonaliśmy, numerki te zastępowały nasze imiona i nazwiska. Słowem przestałyśmy być ludźmi, stałyśmy się numerami.

Tak wystrojone i oznaczone kolejnymi numerami odprowadzono nas na blok. Słysimy znów tę samą ulicą, którą wczoraj prowadzono nas do obozu. Na bloku było zupełnie ciemno. Kobieta, która nas prowadziła, głośno zaczęła wołać na blokową i jej nas oddała. W bloku nas nie zapisywano. W 1942 roku żaden blok nie wiedział, które wię-

źniarki do niego należą, byle tylko liczba, stała się 4

Nasza blokowa, tak samo z numerkiem i literą „P” na czerwonym polu, mówiąca jednak źle po polsku, (pochodziła z Katowic), nie bardzo się nami interesowała. Odeszła też natychmiast, a my błędziłyśmy w ciemnościach, upadając co chwila, aż wreszcie jakaś miłosierna dusza wskazała nam nasze koje. Wdrapałyśmy się na samą górę. Jak się później okazało, był to bardzo szczęśliwy i trafny wybór, bo koje środkowe i dolne były tak niskie, że można było na nich tylko leżeć.

Ciemno. Pierwsza noc na bloku, wśród takich samych kobiet, które zostały wyrwane z domu od rodzin i dzieci. Ale trudno, taki los, trzeba czekać. Ciężkie myśli snuły się po głowie, nim sen skleił zmęczone powieki.

Rano przebudził nas krzyk piekielny.

— Apel, wstawać, wstawać!

W egipskich ciemnościach ubrałyśmy się i pośpieszyłyśmy przed blok, gdzie nas ustawiono w piątce. Apel trwał około trzech godzin. Po apelu przybiegły Niemki i zabrały nas do pracy. Tłumaczyłyśmy im, żeśmy dopiero przyjechały, że nie jesteśmy przygotowane, jesteśmy strasznie głodne, lecz to nie nie pomogło. Do pracy popędzano nas kijem, a która się opierała, została obita i wtedy szły wszystkie spokojnie. Na skrzyżowaniu ulic odłączyła się jedna z piątki i zaczęła uciekać.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Piećło Oświećimnia

5)

(Ciąg dalszy)

Niemka z żółtą opaską na rękawie, noszącej napis „Kapo” zauważyła to i ruszyła za uciekającą, pozostawiając nas bez dozoru. Szybko jednak dopędziła zbiegłą więźniarkę, której w ucieczce prześladowały podarte buty, i zaczęła ją bić trzonkiem od łopaty, łąc ją po niemiecku. Więźniarka straciła przytomność na skutek klatowania i nie słyszała wymyślną Niemki.

Na krzyk kobiet bitej i bijącej zjawił się jak spod ziemi wyrosły drab wojskowy, wziął od Niemki kij i zaczął nim nieszczęśliwą bić po głowie. Po trzech uderzeniach krew zafarbowała na czerwono śniegową poduszkę pod jej głową.

Oprawca syt już krwi polskiej uspokoił się, rzucił kij i poszedł dalej. Niemka wróciła do nas, lecz z oddziału, który zabrała sprzed bloku, pozostała zaledwie połowa, bo reszta zdołała w międzyczasie zbiec. „Kapo” wbiegła z powodu tego zajścia łąc biła i popychała nas niemilosierdzie. Tak przyszłyśmy na drugą stronę ulicy, pomiędzy bloki. Ziemia

była bardzo zmarznięta, a do niej pełno przymarzniętych poobijanych, pogiętych, czerwonych emaliowanych misek, pełnych zmarzniętego kału ludzkiego. Miski te kazała nam „Kapo” zbierać i znosić na jedno miejsce. Zbieranie misek było bardzo utrudnione, gdyż jak wspominałam, miski były przymarznięte do ziemi. Kopaliśmy więc je nogami obuły w drewniaki, z trudem odrywałyśmy je od ziemi, aby później złożyć je na wskazanym miejscu.

W pierwszym dniu naszej pracy miałyśmy smutny obiad, gdyż tak go dzielono, że nie wystarczyło dla wszystkich więc i nam się nie dostało. Byłyśmy strasznie głodne, a jednak trzeba było dalej pracować. Po obiedzie opróżniałyśmy miski i myłyśmy je, a kiedy już były gotowe, odnosiłyśmy je na bloki, które nie miały naczyn pod dostatkiem i więźniarki nie miały z czego jeść.

Może niejedną z czytelników zastanawiać się będzie nad tym, skąd brało się takie mnóstwo misek z kałem ludzkim.

Otóż w roku 1942 nie było w obozie toalety. Zastępowało ją długie koryto, które było bardzo oddalone, a cała najbliższa okolica tegoż była strasznie zanieczyszczona z powodu biegunki, która szalała wówczas w obozie. Żadna z chorych nie była w stanie dojść do koryta i chcąc względnie czystość utrzymać na bloku, chora wypróżniała się do miski, czy garnka i niespostrzeżenie wyrzucała za blok. Gdyby chora na biegunkę nie używała misek, musiałaby

zanieczyszczyć łóżko lub podłogę, a wtedy dostałaby bicie od blokowej, czy też sztabowej.

Miski jeszcze nie wszystkie były wymyte, a tu już gwizdek na apel.

— Gdzie nasz blok? — pytamy zakłopotane.

— Czy trafimy do niego? — oglądają się kilka trwożnie.

Mamy szczęście, bo „Kapo” odprowadza nasz oddział do bloku, więc nie potrzebowałyśmy się tulać i szukać takiego w którym brakuje osób, możemy więc apel przestać. Apel był bardzo długi i nogi nas tak bolały, że już nie wiedziałyśmy jak mamy stać. Nareszcie usłyszałyśmy wołanie:

— Achtung!

Niemka w czarnej pelerynie odliczyła nas, lecz na tym się nie skończyło i trzeba było spokojnie stać dalej. Było już zupełnie ciemno, kiedy nam kazano się rozejść. Pobiegłyśmy na nasze koje. Tam kazali nam cicho siedzieć, każdej na swojej koi a oni tymczasem rozdawali mieli chleb. Siedziałyśmy i czekałyśmy długo, zdawało nam się, że wieczność ciągnie. Gdy ciemność zupełnie zaległa nasz blok, przeszła jakaś więźniarka z zapaloną świecą i nareszcie dostałyśmy po grubej kromce chleba i cienutkim plasterku kielbasy. Zjadłyśmy to z wielkim apetytem, gdyż byłyśmy bez obiadu. Nie wiedziałyśmy jeszcze, że po obiad trzeba się pchać, nicomnie walczyć, a że tego nie robiliśmy, więc dla nas zupy zabrakło.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Piekło Oświęcimia

6)

(Ciąg dalszy)

— Takiego świeżego chleba jeść nie wolno — odezwiała się jedna z kobiet — bo będzie znowu biegać.

— Trzeba go upiec, albo wprost spalić na węgiel — dodała druga — to wtenczas nie zaszkodzi.

— Ale gdzie to zrobić?

— Piecyk tu stoi, ale skąd wziąć drzewa — pytała bezradnie jedna z młodszych więźniarek.

Nie namyślając się długo udały się więźniarki po drzewo. Była to wyprawa niebezpieczna, lecz powiodła się. Z pustego bloku zabrały drzwi i ramy okienne i przyniosły na nasz blok.

— Już mamy na czym chleb piec — szeptały zadowolone.

Szły też kobiety od koi do koi i pytały czy nie potrzeba swetra, lub innej części garderoby, za jeden kawałek chleba!

— Swetr by się przydał — rzekła jedna — bo strasznie zimno, ale skąd wziąć kawałek chleba?

To co dostaliśmy nie starczyło aby głód zaspokoić, a żeby się najęść brakło dużo, dużo. Z bólem

trzeba było odpowiedzieć „nie”, chociaż ciepły sweter przydałby się niejednej. I tak zeszedł nam pierwszy dzień w Oświęcimiu.

Późno położyliśmy się spać. Starsza pani leżąca w środku między nami pocieszała nas, że może jakoś przetrzymamy i z myślami ponurymi zasnęliśmy. Lecz zaledwie zdażyliśmy zasnąć, zbudził nas gwizdek i krzyk:

— Apell

Ubieramy się szybko. Są i takie, które jeszcze się nie zdażyły położyć, wybiegli więc pierwsze, a my za nimi. Ustawiliśmy się w piątce a kapo liczyła i liczyła. Ponieważ liczba więźniarek przy wieczornym apelu się nie zgadzała, powtórzono go o 11-tej w nocy. Stałyśmy wśród nocy a wiatr taki zimny, taki przejmujący, że już przeziębiliśmy do szpiku kości. Dopiero po dwóch godzinach a może i więcej odezwał się gwizdek i kazano nam iść do bloków. Nie dużo pozostało już czasu do spania. Nazajutrz po apelu wzięła nas inna Niemka i prowadziła do innej pracy. Więźniarki uciekały w dalszym ciągu nie sobie nie robiąc z tego, że wczoraj za to samo zakatowano jedną kijami. Kto piekło to ujrzał uciekał od niego, choćby wiedział, że leci śmierci w objęcia. Pozostała reszta Niemka prowadziła do baraku dezynfekcyjnego. Obok baraku leżały sienniki tak mokre i zupełnie zgniłe, oblepione kałem ludzkim, że trudno było znaleźć miejsce gdzieby można ręką schwycić. Te sienniki kazali zbierać i przenosić na inne miejsce. Naturalnie nociliśmy, bo w przeciwnym razie bili, a bi-

cia bała się każda. Najpierw nosiliśmy popadły, a później we dwie już, bo byliśmy osłabione. Mnie przypadło nosić z Zosią Bratro. Sienniki zanosiłyśmy na plac za bloki i tam trzeba było z nich wysypać wiory stare na jeden stos, a sienniki składałyśmy na drugi i wszystko palono. Kiedy opróżniałyśmy sienniki, znajdowałyśmy w nich przeróżne przedmioty. Niejednokrotnie można było odgadnąć myśli ludzi, którzy na tych siennikach umierali. Myśleli napewno tylko o własnych domach, rodzinach i o tym, że wojna się przedko skończy i że pojedą do swoich. W każdym sienniku było coś ukryte. W jednym znalazłyśmy srebrne łyżki, w drugim dwie małe sukienki, a w trzecim bieliznę. Tak można by różne przedmioty wyliczać bez końca. Każdy chował jakiś skarb z tą myślą, że wróci do domu, a odchodził na zawsze w zaświaty. To nas zalało. Wówczas miałyśmy to przeświadczenie, że nie przeżyjemy tego piekła i tak samo jak nasze poprzedniczki skończymy na siennikach przegniłych z myślą o najbliższych i najdroższych.

Tym razem znowu nie starczyło obiadu dla wszystkich, choć dawali tylko po ćwierć litra wodnistej zupy. Jedne dostały swoją porcję, inne musiały znów głodować. Po obiedzie uciążliwa praca i w końcu długi znienawidzony apel, podczas którego stać trzeba było tyle długich godzin. Apel taki był dla nas męczarnią, gdyż byliśmy coraz słabsze, a wskutek rozpanoszenia się wszy na naszym bloku choroba zbierała obfite żniwo.

(Ciąg dalszy nastąpi)

7)

Piekło Oświęcimia

(Ciąg dalszy)

— Jak to długo potrwa? — pytała jedna slaniając się ze zmęczenia. Inne modliły się głośno prosząc Boga o wolność, o powrót do domu, inne znów narzekały i szemrały. Jedna z więźniarek pragnęła tylko chleba najęść się do syta i... umrzeć. Wszystkie były podczas apelu bardzo zdenerwowane. Wszy, nędza, upokorzenia i prześladowania doprowadzały nieszczęśliwe kobiety do rozpacz.

— Proszę mi powiedzieć, za co mnie zamknęli, co ja zawiniłam? — skarżyła się młoda kobieta.

Nagle umilkły wszystkie ujrzawszy nadeżdżającą SS-frau i przeżyły się na baczność. Ona przeszła nie zwracając na nic uwagi i poszła dalej, a biedne kobiety przestępowały z nogi na nogę i marzły. Któraś zaczęła wspominać dom własny, jego ciepło przytulne i nie trwało długo, a całe towarzystwo tak się rozgadało, że nie zauważyłyśmy, kiedy Niemka nadeszła. Jedną z więźniarek, pierwszą z brzegu rozebrała na zimno, ściągając jej swetr zapasowy, którego nie wolno było nosić, potem ściągnęła jej podwiązki, bijąc ją niemilosernie.

Inne już w całym szeregu nie zważając na zimno zdejmowały z siebie szybko zapasowe swetry i inne niedozwolone części garderoby. Rzeczy te rzucały do rowu.

Gdy gwizdek ogłosił koniec apelu, więźniarki wracały do bloku. Były i takie, które wróciwszy na plac, zabierały porzucone rzeczy, inne znów zdążyły już zorganizować nowe. Tak było już przyjęte we wszystkich obozach, że więźniowie zawsze robili to, czego im najbardziej zabraniano. Tak samo było i u nas. Im więcej nam odbierano, tym więcej organizowałyśmy, gdyż wiedziałyśmy doskonale, że obozy koncentracyjne były po to, by ludzi wykończyć, a my przeciwnie, postanowiłyśmy za wszelką cenę przeżyć i udało to się tylko dlatego, że robiliśmy wszystko, czego nam robić zakazywano. Następnego dnia znów szukano zakazanej garderoby. Więźniarki zorientowały się szybko i nim pierwszą zdolano rozebrać pozbyły się już tego co było zakazane. Nam nie wolno było nosić dwóch swetrów, gdy w tym samym czasie całe stopy przemoczonych deszczem rzeczy gniły na polu. Wieczorem, kiedy położyłam się spać po zwykłej rozmowie z moimi przyjaciółkami, z którymi razem przyjechałam do obozu i z którymi przeżywałam całe piekło męczarni, długo zasnąć nie mogłam. Śnuły się myśli jedne za drugimi, chciałoby się wszystko rozumieć, ale im więcej się myślało, tym większy chaos był w głowie. Jednego byłam pewna, że dostałam się do piekła, które przeżyć będzie bardzo trudno. Przed oczyma duszy przesuwaly się

wszystkie udręki obozu, dręczyły mnie pytania, na które nie miałam odpowiedzi. Dlaczego tyle przestępstw kryminalnych pomiędzy nami? Dlaczego taki głód, dlaczego tyle starań aby nas poróżnić? Niemcy chcieli, abyśmy się wzajemnie nienawidziły. Lecz myśmy ich manewr szybko przejrzały i robiłyśmy wszystko naopak. Takie rozmyślanie zabierały mi noc niejedną i wychodziłam nie silniejsza, lecz słabsza. Wiedziałam, że trudności są bardzo wielkie. Jedna tylko myśl mnie pocieszała, że my ludzie całej Europy nareszcie zrozumiemy się, że połączy nas wspólna niedola i prześladowanie.

Już gwizdek się ozwał i trzeba było znów w ciemnościach macać aby się ubrać. Lecz szło to już sprawniej, bo człowiek do wszystkiego się przyzwyczail. Apel jak tyle innych. Mnóstwo wymyślań, a przede wszystkim długiego stania i marznięcia na zimno, dużo krzyku, liczenia i kolowania. Apele te znienawidziłyśmy całą duszą. Wiele słabych kobiet mdlało podczas apelu. Towarzyszki niedoli starały się je podtrzymywać, nderzały je po twarzy, trzymały mocno pod ręce, chętnie dano by omdlałej trochę wody do ust aby przyszła do siebie, lecz i wody nie było. W roku 1942 z wodą było bardzo źle. Otrzymywały ją więźniarki tylko do naparzania ziółek i to taką odrobinę, że nie wiadomo było co z nią zrobić, czy wypić, czy też umyć się, bo uczucie brudu jest tak samo przykre jak uczucie głodu.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Piekło Oświecimia

8)

(Ciąg dalszy)

Nareszcie po apelu. Jakaś inna Niemka przyszła po nas do pracy, zabrała nas, wyprowadziła na główną ulicę i poszłyśmy. Przechodziłyśmy przez bramę równym, marszowym krokiem, a tu stała cała świta SS-mańska. Kapo bała się ich, widziałyśmy to, bo szła przy nas wyprostowana i sztywna i coś meldowała. Kilkanaście par oczu skierowanych było na nas. Liczyli z jednej strony, liczyli z drugiej a my szłyśmy, starając się utrzymać równy krok. Gdy któraś zmyliła nogę, dostawała pięścią lub kijem. Psy trzymane przez SS-mannów tak się do nas darły jakby miały chęć się nami „popieścić”. Myśli nasze gubiły się w ujadaniu psów, w wymyślaniach i przekleństwach Niemców. Każda była tym „links” tak przejęta, że nie wiedziała jak jej koleżanka idąca tuż obok dostała bicia. Kiedy już przeszłyśmy, dołączyło się na koniec dwóch SS-mannów z psami i automatami, aby w razie ucieczki którejs z kobiet strzelać.

Za bramą zwolniłyśmy tempo i to „links” nie

było już konieczne, szłyśmy wolniej, tylko że nie wiedziałyśmy dokąd i co będziemy robiły. Wkrótce dowiedziałyśmy się. Oddział stanął i zaczęło wydawać narzędzia pracy. Były to ciężkie kilofy. Podzielono nas na małe oddziały a Niemka popatrzyła na nas, i wybrała kilka, którym powierzyła po parę więźniarek i każdy oddział ruszył do jednego z domów stojących w pobliżu.

SADYZM APELU

Więźniarki przyszły do pięknego domku otoczonego parkanem, przy którym rosły dwie tuje. Dom ten wyglądał zupełnie inaczej. Nad głównym wejściem zauważyłyśmy dość duży trójkąt, a w nim oko Opatrzności, a poniżej napis: „Miej Boże w swej opatrzności i tego co mi zazdrości”.

A więc były to domy, w których do niedawna mieszkaly i żyły szczęśliwe rodziny polskie, nie przeczuwając, że przyjdzie taki dzień, w którym będą musiały nagle dom opuścić. Zaczęłyśmy pracę. Kazano nam ten dom rozebrać. Jedne weszły do środka inne na dach, a jeszcze inne zabrały się do rąbania ścian... Wewnątrz domku stały jeszcze wszystkie meble pokryte grubo kurzem. W kuchni stały garnuszki na płycie, jakby za chwilę w nich miał się obiad gotować. Z góry dołatywały już silne uderzenia aż szyby drżały. Nas pędzono i kazano rąbać prędzej i prędzej. Do wnętrza wszedł SS-mann z psami, popatrzył i poszedł dalej. Byśmy nie próbowały ucieczki, pokazali nam linie,

za którą nie wolno było nam przechodzić, bo była strzelali. W ten sposób zabezpieczali się przed ewentualną ucieczką więźniarek. My pracowałyśmy tylko wtedy, kiedy patrzyły na nas Niemki lub SS-manni. Gdy ich nie było, wsparte na kilofach rozmyślałyśmy o swoich domach, o rodzinach. Z zamyślenia wyrwał nas zazwyczaj głos dozorców lub uderzenie w kark. „Kapo” lustrowała dokładnie kuchnię i garnki. Podobało jej się wszystko, bo zawołała kobietę, kazała jej rozpaść ogień i obrać ziemniaki. Dwie więźniarki postawiono na straży, by doniosły, gdy ktoś się do domku zbliża.

Teren, na którym pracowałyśmy, świecił pustką; ludzi cywilnych nie widziałyśmy tam zupełnie, wszyscy byli wysiedlani. Nagle Niemka zawołała tłumaczkę, gdyż większość więźniarek nie знаła języka niemieckiego. Tłumaczka szła od jednej do drugiej i zbierała margarynę. Każda wyciągnęła trochę margaryny z torby przewieszanej przez ramię, w której nosiła swoje bogactwo t. j. scyzoryk, łyżkę, kawałeczek chleba i małe pudełeczko od kremu, a w nim odrobinę margaryny, marmelady, albo plasterki kielbasy. Pudełeczko to każda więźniarka oddawała tłumaczce. Do gotujących się ziemniaków włożyła Niemka zebraną kielbasę, w drugim garnuszku przesmarzyła margarynę z cebulą i wlała to do zupy. Miły zapach rozszedł się po domu, lecz zupa była nie dla nas. My zaś za swoją kielbasę i margarynę mogłyśmy chwilę stać, nie robiąc. (Ciąg dalszy nastąpi)

Piekło Oświecimia

(9)

(Ciąg dalszy)

Lecz, broń Boże, nie wolno było nam usiąść, choć nogi wytrzymały nie mogły pracy 18-19 godzin na dobę. Kiedy było nam zimno, mogłyśmy ruszać się do woli.

Nagle rozległ się ostrzegawczy krzyk i zupa momentalnie zginęła z pieca. Wszystkie pracowały, każda waliła kilofem z całej siły. „Kapo” była znów wszędzie i SS-manni chodzili pomaleńku z psami trzymając w pogotowiu automaty. Słowem, panował wzorowy porządek.

Przyjechał jakiś starszy SS-mann, zlustrował wszystko dokładnie. „Kapo” wypełniając swój „obowiązek” tłukła którąś z kobiet za to, że rozbiła cegłę, potem chwyciła jej kilof i pokazała zrećźnie, jak ma uderzać. Władca, który nas kontrolował, nie szczędził obitej przez „Kapo” więźniarce dodatkowych razów. Bita krzywiła się, lecz nie przerywała pracy.

— Prędzej pracować! — krzyczał SS-mann —

W pracy musi być tempo! Po drodze kopnął jeszcze kilka pracujących i odjechał.

Oddechnęłyśmy swobodniej i zwolniłyśmy tempo. „Kapo” poszła odgrzebać zupę, aby ją zjeść razem z pilnującymi nas SS-mannami. Co pozostało, dano psom. Na widok zupy głód zaczął nam jeszcze bardziej doskwierać. Która miała choć kromkę chleba w swej torbie, wyciągnęła ją i zjadła, ale większość więźniarek i kawałek suchego chleba nie miała. Po najedzeniu się Niemka położyła się spać, a SS-manni pilnowali, a myśmy stały i marzły, czekając, aż nadejdzie czas powrotu do obozu...

Nareszcie dzień zeszedł. Znów ustawiali nas i liczyli. Liczba nie zgadzała się i Niemka raz jeszcze liczyła, denerwowała się i biła jedną przy drugiej. Nareszcie wyszła brakująca z za domu. Gdy „Kapo” ją zobaczyła, zaczęła ją bić, a SS-manni pomagali, aż upadła. Wtedy w dalszym ciągu zaczęli się nad nieszczęśliwą, kopiąc ją niemiłosiernie.

Ruszyłyśmy spowrotem, niosąc nieszczęśliwą na rękach. Przyszłyśmy z opóźnieniem. Przy bramie znów SS-manni liczyli nas dokładnie. Apel odbył się bez niespodzianek i trwał wyjątkowo niedługo. Byłyśmy szczęśliwe, że jeden dzień minął, że o jeden dzień jesteśmy bliżej wolności lub śmierci.

Przekonałyśmy się, że tam w obozie wszyscy wprost lubowali się w biciu.

Pewnego razu podeszła SS-frau do bramy, którą więźniarki musiały przechodzić. Wygląd więź-

niarek był niejednolity. Jedne nie zjadały chleba, by zań kupić sobie sukienkę i porządnie wyglądać, inne znów zupełnie o siebie nie dbały i ubrania miały bardzo brudne, a nawet do mycia trzeba było je napędzać.

SS-frau nie nawidziła czystych i porządnie ubranych więźniarek. Gdy taką chwyciła, biła ją po twarzy i głowie. Ofiara nie wiedziała w pierwszej chwili za co, lecz Niemka jakby wyczuła jej pytanie, puściła ją mówiąc:

— Idź, oddaj dalej!

Obita uderzała pierwszą lepszą, powtarzając słowa Niemki.

SS-frau brała się pod boki i z lubością przypatrywała się jak Bogu ducha winne kobiety wzajemnie się biły. Wówczas trzeba było dwoić i troić czujność, aby nie dostać bicia od towarzyszek niedoli.

Zmęczone po ciężkiej pracy i dalekiej drodze zasnęłyśmy szybko. Kiedy noc minęła nie wiedziałyśmy. Gdy rozległ się gwizdek na apel, to nam się zdawało żeśmy zupełnie nie spały. Ubierałyśmy się jak zwykle spiesząc na apel. Co noc były wypadki, że kilka z naszego bloku odeszło od nas na zawsze.

Apel ten był krótki. Jeszcze nie było gwizdka, a Kapo już była przy nas. Zabrała nas, liczyła, ustawiała, przeglądała czy numery mamy dobrze przyszyte, a w końcu pouczała jak mamy iść przez bramę. (Ciąg dalszy nastąpi)

Piekło Oświęcimia

(10)

(Ciąg dalszy)

Ruszyliśmy. Brama tak samo jak codzień była obstawiona, tak samo leżono nas i tak samo szli za nami żołnierze z psami. Za bramą mogłyśmy już iść wolniej i rozmyślać nad tym, gdzie dziś będziemy pracować. Praca przypadła nam przy szosie. Jedne nosiły kamienie, inne podawały a jeszcze inne układały. Praca szła bez przerwy jak w maszynie. Nie było tu mowy ani o gotowaniu ani o odpoczynku. SS-manni z psami pilnowali gorliwie. Kapo chodziła z bykowcem i biła, a oprócz tych był jeszcze jeden, który na polu dołączał się do naszej gromady. Widać było, że wszyscy się go bali. Pracowałyśmy bez wytchnienia, ani na chwilę nie mogłyśmy stanąć, bo skoro zwolniliśmy tempa, już nie wiedzieć skąd, kij spadał na plecy. Z utęsknieniem czekaliśmy końca dnia, bo i sił brakło i nogi bolały i głód dokuczał strasznie.

Dzień się nareszcie skończył. Czekala nas jeszcze droga powrotna do obozu i apel. Miałyśmy na-

dzieję, że może będzie krótszy. Ustawiliśmy się, a oni liczyli raz i drugi, sprawdzali czy wszędzie jest po pięć. Niestety brakowało jednej. Myślałyśmy, że może jest za domem i nie przejmowałyśmy się tym. Tymczasem szukano jej wszędzie i nie znaleziono. Nas ogarnęło zdenerwowanie, gdyż nie wiedziałyśmy, co z nami zrobią.

— Czy aby nie będą dziesiątkować — szepnęła któraś trwożnie.

— Cicho bądź — krzyczy inna histerycznie.

Wszystkie myślały o tym, lecz bojąc się mówić. Szukają brakującej długo, lecz daremnie. Ruszyliśmy dalej, lecz żadna z nas nie myślała już o tym, że nogi ją bolały, że cały dzień tak ciężko pracowała, tylko myśli natrętne rozsadały głowę i upórzywe pytanie dręczyło bezustannie — co będzie dalej?

Żadna nie pomyślała o tej, która uciekla, czy jej nie chwycą, czy jej się ucieczka uda.

Doszłyśmy do bramy. Ten, który nas przez cały dzień męczył przy pracy też był już przy bramie. Stał tam z całym zarządem i nas zatrzymał. Liczyli nas, sprawdzali czy wszędzie jest po pięć, potem wprowadzili na pusty plac i kazali ukłekać. Ukłękłyśmy, czekając co będzie dalej. SS-mann pytał przez tłumaczkę, czy która z nas zna uciekinierkę. Nie odezwiała się żadna. Kazali nam popatrzeć po obecnych, może zauważymy, której nie-

ma. Znow cisza. Teraz kazali nam NPN 000.548 ręce do góry. Wypełniliśmy rozkaz. Pozostawiono nas kłęczących, a władza poszła na nasz blok. Lecz i tam nikt nie wiedział. Kazano więc i tym na bloku ukłekać i ręce wzniesić do góry. Liczyli w całym obozie, aby się upewnić, że jedna zbiegła. Jeden dozorca pozostał przy nas, reszta poszła szukać.

Głód nam dokuczał, na placu robiło się już ciemno, a myśmy nie jadły, jak dnia poprzedniego i nie wiadomo było, czy co tego wieczoru jeszcze do zjedzenia dostaniemy. Byłyśmy strasznie zmęczone, lecz dla nas nie było litości i kazali nam w dalszym ciągu kłechać.

He godzin kłęczaliśmy, tego już nie wiem, wiem tylko, że przyjechali jacyś na motocyklach i powiedzieli, że już ją schwytali i apel się zakończył. Komendant obozu miał długą przemowę na temat ucieczki, a potem kazano ją przetrzymać na różne języki. Oni twierdzili, że ją złapali, a my w to nie wierzyłyśmy. Poszłyśmy na blok, lecz było nam ciężko na sercach, gdy dręczyła nas niepewność czy ucieczka się powiodła.

Rano zabrala nas ta sama Niemka. Znow ta sama robota i to samo popędzanie: prędzej, prędzej! Usłyszaliśmy warkot motorów. To samochody jechały od Oświęcimia i zatrzymały się. Nasi dozorca popędzali nas tak, że już nie chodziliśmy a biegaliśmy przy robocie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Roma Cieślak-Cieślaka

Piekło Oświęcimia

(11)

(Ciąg dalszy)

Z samochodów wysiedli ci, których co rano widziałyśmy przy bramie. Był to cały zarząd obozowy. Wizyta ich zaniepokoiła nas. Kazano nam się ustawić w plątki, liczone nas jak zwykle. Stałyśmy nieprzytomne ze strachu. Niemcy przechodzili obok szeregów, przyglądali się nam, a w końcu po długim milczeniu wywołali dwa numery. Wierzyłyśmy już, że to dziesiątkowanie za to, że jedna uciekla. Tymczasem SS-frau zdjęła z wyklekionych więźniarek pasiaki (sukienki obozowe) i okazało się, że pod pasiakami miały one ładne czerwone sukienki.

Gdy komendant to ujrzał zaczęło się bicie winowajczyń. Bili wszyscy ile kto chciał. Nieprzytomne ofiary oblewano wodą a gdy oprzytomniały, kazano im iść na tor, za pas wyznaczony i tam obić zastrzelono. Na zakończenie powiedział komendant, że tak skończy się każda chęć ucieczki.

Wieczorem zanieśliśmy ofiary do obozu na apel. Apel był krótki jak nigdy. Byłyśmy bardzo przygnębione tym zajściem i byłybyśmy chętnie jeszcze jedną noc kłęczały, byle ucieczka się tym dwóm udało. Wieczór zeszedł w zupełnej ciszy, gdyż, po nieprzespanej nocy już przed „ciszą wieczorną“ spokój panował na bloku.

Tatuowanie więźniarek

Doszła nas smutna wiadomość, że miałyśmy być tatuowane, na lewym przedramieniu. W tym czasie tatuowano tylko Żydówki i dlatego powstał płacz i krzyk, gdyż każda myślała jak tego uniknąć. Tatuowane miały być wszystkie kobiety, za wyjątkiem Niemek. Jak się później okazało, nie tatuowano tylko warszawskiego transportu z powstania.

Nas zaprowadzono blokami, a następne transporty już zaraz po przybyciu zapisywano i tatuowano. Odtąd każda więźniarka Oświęcimia miała numer tatuowany na ramieniu. Miało to służyć dodatniej stronie, zwłaszcza w czasie chorób i śmierci. Odtąd nie było już tych pomyłek, że rodzina dostawała wiadomość o zgonie tej, która żyła. W czasie choroby i gorączki, chore zapomniały swych numerów i podawały takie, jakie im przyszły na myśl. Dlatego często rodzina dostawała fałszywe wiadomości o śmierci.

Aby się upewnić, czy wszystkie więźniarki zostały już tatuowane urządzono pewnej niedzieli generalny apel. Jednej niedzieli zamiast do pracy poszłyśmy na główną ulicę obozu i ustawiliśmy się blokami. Nie wiedziałyśmy co się z nami stanie. Przeróżne krążyły wieści i każde posunięcie uważałyśmy za koniec wojny. Wiele twierdziło, że to selekcja, że to taki generalny apel jaki już raz przechodziłyśmy. Wyglądało na to, że opuszczamy obóz na zawsze i że popędzą nas nie wiadomo gdzie. Każda więźniarka trzymała w woreczku cały swój majątek i czekała na dalszy bieg wydarzeń. Każda chciała wyglądać jak najlepiej i dla-

tego porobiły sobie więźniarki rumieńce szminką, lub czerwonym buraczkem.

Stałyśmy tak do godziny dziesiątej. Wtedy przyszła władza i zaczął się ruch. Zaczynali stawiać numery na ramionach więźniarek i kazali ustawiać się według kolejności numerów. Sprawdzane numery wychodziły na pusty plac otoczony strażą z psami. Sprawdzanie to trwało dzień cały. Nazajutrz pełniłyśmy znow normalną pracę, lecz już nie na szosie, a na łakach pokrytych wodą. Łąki te trzeba było osuszyć przez pogłębienie rowów. Ziemię wydobyta i kamienie trzeba było przenosić na suche miejsce. Dużo naszych kobiet zginęło przy tej pracy.

Niemiec gospodarz bił i zabijał tak, że w końcu kobiety wołały, by je zabito na miejscu, miast zamęczać przy pracy. Na interwencję „Lagerälteste“ zakazano zabijania więźniarek.

Pewnego dnia poszłyśmy z koszami naladowanymi sztucznymi nawozami na pola, a pół tych było dużo, SS-manni dążyli do tego, aby obóz był samowystarczalny, zasilano więc ziemię nawozami sztucznymi, by lepiej plonowała. Popiół, którym nawoziliśmy pola, pochodził z krematorium. Gdy deszcz nań popadał, stawał się zupełnie czerwony jak krew.

Po pracy apel. Znow się coś nie zgadzało. Znowu liczenie i męczenie nas, by wydobyć, gdzie się znajduje brakująca więźniarka.

Do pracy szły również ciężko chore. Epidemie szalały w tym czasie, zabierając codziennie setki ofiar. Takie chore trzeba było od pracy nieść

(Ciąg dalszy nastąpi)

Roma Cieślík-Ciesielska

Piekło Oświęcimia

(12)

(Ciąg dalszy)

A nie brak było też więźniarek z porozbijanymi głowami. SS-manni szaleli, bili do krwi i znęcali się w bestialski sposób nad nieszczęśliwymi kobietami. Jedną z więźniarek zabrali któregoś dnia na rozstrzelanie. Pochodziła ona z Katowic i spotkała znajomą Niemkę, która w Oświęcimiu była dozorczynią. Przez nią wysłała więźniarka list do matki, która uszczęśliwiona wiadomością od córki, przysłała jej paczkę żywnościową. Przesyłki te powtarzały się coraz częściej, aż sprawa się wydała. Więźniarkę spotkała śmierć, a współniczkę jej zamknięto na sześć lat w więzieniu. Wiele z kobiet, udających się po 18 kilometrów do pracy w pole, zdołało przez ludność cywilną wysłać do domu grypsy. I wnet zaczęli przyjeżdżać członkowie rodzin z paczkami.

W obozie dawał się bardzo we znaki brak lekarstw i nie było żadnej pomocy dla chorych, choć lekarstwa mogły wiele ludzi utrzymać przy życiu. Jako pierwsze zabrały się nasze więźniarki do zbierania lekarstw od cywilów, którzy dostarczali niezbędnych medykamentów. Śmiertelność zmniejszała się natychmiast wśród więzionych.

Prawie codziennie czekały na polu dzieci, które oplaciwszy wartownika, chciały się zobaczyć ze „swoimi”. Wizyty takie powtarzały się coraz częściej i listy od więzionych szły do rodzin.

Od czasu do czasu notowano nieuczki więźniarek, lecz zasadniczo mało kobiet ratowało się w ten sposób. Choć nieraz było nam bardzo źle, myślo rodzinie ratowała nas od popełnienia szaleństwa, jakim była nieuczka, gdyż za to sprowadzano całą rodzinę zbiega do obozu. Więźniarki żyły w bezustannym lęku i dzień, w którym nie dostały bicia, uważały za bardzo szczęśliwy. Ciągłe kontrole na poszczególnych blokach połączone były z „współ”. W jednym miejscu znaleziono kartofle, gdzieś indziej mąkę i margarynę. Organizatorka dostawała zwykle bicie i wędrowała do Sk. W inne dni chodziła SS-frau i szukała bielizny i szmali na kocykach i w siennikach. Nuzbierała tego całe stopy.

Shczęśliwe były bloki zamknięte, w których panował tyfus plamisty lub szkarlatyna. Tam właśnie już nie chodziła i tam właśnie można było trochę strawy ugotować. Papier z napisem określającym epidemię w bloku, był ochroną od plagi SS-mańskiej. Dlatego też nieraz bloki fikcyjnie starały się o zamknięcie, a okres izolacji trwał zazwyczaj 3-4 tygodni.

WIDMO PIECA KREMATORYJNEGO.

Ciemno było i wiatr dał i zaczął deszczem ze śniegiem, a w bloku panowała cisza. Nagle przerwał ją gwizdek przeciągły, który, jak echo powtarzał się dalej i dalej. W ciemnym i zimnym bloku rozległ się nieprzyjemny ochrypły głos małej Genki — szubowej, która tak się wżyła w rolę funkcyjnej,

że nawet w nocy zrywała się z posłania, przeklinając swoje współtowarzyszki niedoli.

— Wstawać gnoje przekłete! — wstawać po kawę, po kawę.

Nie było chętnych, bo napój z ziół, który nam na śniadanie dawano, nie był ani ciepły, ani słodki, a do kuchni kawał drogi. Kibel na 40—50 litrów był ciężki, a nogi nasze spuchnięte i bez obuwia.

Przekleństwa i krzyki, połączone z razami, zmusiły którąś nareszcie, by poszła po „kawę”. Nie zdążyła jeszcze kibla przynieść, a już krzyczały blokowe i szubowe, by wychodzić. Wypędzały nas z bloków i ustawiały po pięć. Ze świecą stwierdzały szubowe, czy ktoś nie został na bloku. Na dolnej koi spostrzegła szubowa leżącą kobietę. Rozległy się przekleństwa i kij szubowej spadł na nieszczęśliwą, która nie reagowała na nie i to wyprowadziło szubową z równowagi. Chwyciła więc ofiarę za rękę, by ją ściągnąć na podłogę. Kobieta była już sztywna i zimna. Szubowej nie przerażało to, zawołała inną do pomocy i wyrzuciły trupa przed blok, bo do apelu liczba musi się zgadzać.

Na końcu apelu zbierano wszystkie słabe i chore. Jedne z nich leżały cicho, inne drżały jak liście osłici z gorączki i zimna, a deszcz ze śniegiem padał nienastannie. Był to apel trwający dwie i pół godziny. Gdy apel się skończył, pomaszerowałyśmy w pole do pracy, a chore zostały na placu. Nareszcie kazano ciężko chorym ustawić się w szeregi. Silniejsze ustawiały się jakoś, a słabe wzięto pod rękę i tak zawleczono do ambulansu.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Roma Cieślík-Cieśliska

Piekło Oświęcimia

(13)

(Ciąg dalszy)

Przed ambulansiem znów trzeba było długo czekać na kolejkę.

Byłam i ja wśród tej gromady nędzarek.

Nareszcie dostałyśmy się do wnętrza. Ciepło tam było i przyjemnie. Można było nawet o wodę poprosić i ją się otrzymywało, mimo dotkliwego jej braku (rok 1942) w całym obozie. W ambulansie mierzone temperaturę. Która sprytna, oszukiwała sanitarkę i szła do ambulansu, jeśli było jeszcze wolne miejsce. Jeśli miały dyżur lekarki Polki Jasia Węgierska lub Irka Konieczna, chore zwykle przyjmowano. One z narażeniem siebie przyjmowały chore na izbę, lub dawały im lekką pracę, a ostatecznie zezwalały na pobyt na bloku.

Chore przyprowadzano na wyznaczony przez lekarki blok, sadzano je na długich piecach, potem rozbierano i lekowano w łóżkach. W łóżkach tych leżały już po 3 ciężko chore. Dodać należy, iż w tym czasie panowała w obozie epidemia tyfusu plamistego. Wszystkie chore bez względu na rodzaj choroby tłoczono na małych łóżeczkach, że ruszać się nie mogły, pozostawiając je bez pomocy. Natura

sama musiała zwyciężyć chorobę. Chore więźniarki leżały po cztery na jednym sienniku prawie bez wórów, przykryte dwoma kocami, na których roily się milionowy wszy i pcheł.

Po chwili otworzyły się drzwi i wszystkie powstały. Jedna zameldowała ilość więźniarek znajdujących się w celi. Zabrano od nas więźniarkę-Kapo, gdyż była to cela dla zwykłych przestępców, a zarazem rzucono wspomniane dwa kocy.

Zaczęły się opowiadania i marzenia o jedzeniu, a później śpiewy i tak zeszedł pierwszy dzień. Aresziantki pościeliły sobie łóża. Jeden koc pod siebie a drugi na siebie i tak przespaly. Rano kawa, małeńka kromeczka chleba i nie aż do wieczora. Dzień się tak dłużył a położyć się ani na chwilę nie było wolno. W drzwiach znajdował się judasz. Powoli zaczęłyśmy się orientować w czasie po ruchach za drzwiami. Najgorsze było, kiedy w obiad słyszano się sruwanie kotła z obiadem i szcęk misek. Byli już obok, a później poza nami, wtedy tak bardzo się chciało jeść, choć był to dopiero drugi dzień, a co czwarty dawano obiad. W nocy wywołano jedną, jak się później dowiedziałyśmy na rozstrzelanie.

W tym bloku odbywały się u góry przesłuchiwania i nieludzkie katowanie, a także nieliczni nowi aresztowani tu byli przywożeni i stąd brani na przeduch. Ofiara zabrana w nocy nie wróciła. Nazajutrz zabrali nas z tej sali na drugą, a było tam o daleko gorzej, bo oprócz tego samego położenia i urządzenia oknem widać było dziedziniec otoczony

ny wysokim murem. Tu szóstego dnia, po naszym aresztowaniu wyprowadzono 5-ciu mężczyzn tylko w spodniach bez marynarek. Ustawiono ich pod murem, a my czekamy co będzie dalej. W pierwszej chwili wyglądało to, jakby na dany znak zrobili szybki przysiad, lecz oni padli na zawsze. Na białych ich ciałach wystąpiły plamy krwi.

Co mógł myśleć każdy z nich w ostatniej chwili? Ściana pod którą zginęli „to ściana śmierci”. Po chwili widziałyśmy że ich zabierano. Na tym kończyło się pole naszego widzenia. Ci którzy zabierali zamordowanych przed chwilą, musieli czynność tę wykonywać częściej, bo żartowali i śmiali się przy wykonywaniu rozkazu. Myśmy się tą egzekucją tak przejęły, że kiedy podano nam na 8 dzień obiad tośmy go nie tknęły, a przecież litr brukwi gorącej, dość gęstej był przysmakiem dla wygłodniałych.

Nocami budził nas krew w żyłach mrozący jęk; wówczas modliłyśmy się, gorąco o pomoc i wytrwanie dla nieszczęśliwego męczennika. Kiedy jęki nie ustawały, puszczała sadyści przekleci radio aby wszystko zagłuszyć. Nerwy wrażliwej kobiety były poszarpane, a tu jeszcze pozostało trzy dni aresztu. O jedzeniu nie myślała, spać nie mogła tylko z zapartym oddechem czekała dalszych następstw. Przecież to święta Wielkiejnocy 1943 i każda przeniosła się myślą do swoich najbliższych, znajdujących się poza drutami obozu.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Piekło Oświęcimia

(14)

(Ciąg dalszy)

Święta Wielkiejnocej w areszcie.

Wszystkie kobiety chętnie szły pracować do składnicy obuwia. Była to praca pod dachem i nie ciężka — czyszczenie brudnych, bardzo mokrych butów. Siedziała sobie jedna i druga na czymś i nożem zeszkrobywała błoto z obuwia. Lecz i tu choroba dotarła i jedną po drugiej walila z nóg.

Pewnego razu przyszła Skibińska z twarzą tak zmienioną, że mało kto ją poznał. Opuchła i nie mogła pracować, a że nie miała 40 stopni gorączki, więc nie mogła iść na izbę chorych. Nogi jej już tak spuchły, że chodzić nie mogła. W ambulansie tak mówiono jej, że nie ma gorączki i musi pracować, aż w końcu jakaś lekarka Polka ulitowała się i zabrala ją na izbę chorych. Nie długo leżała, się i zmarła, pozostawiając 14-letnią córkę. Więźniarki chore, słabe pracowały jak mogły z myślą, że może uda się coś od czasu do czasu ugotować. Niemkę dało się nieraz przekupić.

Gorzej było z Kapo Szmidsłowacką — Niemką.

Chodziła jak królowa, w gazowych pończoszках, eleganckich bucikach i codziennie w innych sukienkach. W obozie powodziło jej się napewno lepiej niż na wolności. Podobno za wielkie zasługi położone dla obozu chcieli ją zwolnić, lecz ona wolala zostać w obozie.

O godz. 10-tej rano przyszła więźniarka goniec i zawołała nr 27184, 27184. Właścicielka numeru, podniosła się z trwogą. Wiedziała ona że to nie dobrego nie wróży. Przebiegła myślą ostatnie dni, lecz nie, nie było meldunku. Więźniarka goniec wola natychmiast naprzód. Idzie numer wywołany bledzinsienki jak oplatek a jeszcze bardzo źle wyglądający po chorobie. Przyprawiono ją przed bramą i kazano stać na baczność, bo dozoreczni była zajęta.

Po pewnym czasie zawołali, więc poszła zameldowała się i czekała a „kostusia” odczytała jej wyrok, skazujący ją na 14 dni aresztu i 3 miesiące Sk. (karny blok).

I znów wyprowadzono ją przed tą samą bramę i kazano stać na baczność aż przyszła SS-frau i zabrala ją i jeszcze jedną do bunkru w Oświęcimiu. Przed odejściem tradycyjne odwołanie. Dozoreczni rozmawiała z Kapo a Polka rozmyślała nad swoim przestępstwem. Co takiego zrobiła że aż taka kara ją spotkała. Dała komuś na karteczkę imię i nazwisko swojego męża, który również siedział w Oświęcimiu by się nieczuł że jego żona już przeszła tyfus i jest zdrowa.

Tak myśląc nie wiedziała kiedy drogę przebyła i znalazła się w Oświęcimiu. Tu już sami mężczyźni wychylali się z okien, inni stawali i przyglądali się ofiarom. Oni dobrze wiedzieli dokąd nieszczęśliwie idą i co ich czeka. Oskarżona szuka pomiędzy męskimi pasiakami męża, lecz napróżno. Doszły do bramy i stanęły. Z bramy tej wyszedł SS-man i odebrał skazane. Po zapisaniu kazal iść za sobą. Kobiety zadrżały. Otworzyły się drzwi jedne i drugie i więźniarki znalazły się w maleńkiej celi. Tu było już 5 kobiet różnych narodowości. Kiedy drzwi się zamknęły, zaczęły się pytać, za co i na jak długo je tu zamknęto. Każda opowiadała kiedy się skończy jej kara. Nowe aresztantki rozglądały się ciekawie. Celka była na 2 1/2 m 3 m, jedna pryzma, okienko zamurowane, tylko mały otworek którym widać było mały rąbek nieba i w kącie jednym kibel śmierdzący.

— Jak się tu spi — pytają.

— Dadzą ci dwa koce i będziesz spała, wieczorem ziólek, rano garuszek kawy i kawałek chleba, a co czwarty dzień obiad i to wszystko.

Każda chora, choć nieprzytomna z gorączki, czuła podświadomie, że przy selekcji grozi jej komin. Chore, dręczone przez robactwo drapały się, w następstwie czego całe ciało pokrywało się strupami, pod którymi żerujące wszy i pchły wywoływały jeszcze większe swędzenie. Były to męki nie do opisania.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Piekło Oświęcimia

(15)

(Ciąg dalszy)

Któregoś wieczora rozeszła się wieść okropna. Strach padł na wszystkie. Nawet gorączką trawione poczuły zbliżający się koniec. Z pobladłych warg padało słowo wywołujące grozę: selekcja. Zaczął się ruch i troska zdrowych więźniarek o chore; ciche nocne odwiedziny i narady. Jedno było wiadome i pewne, że wszystkie źle wyglądające pójdą do komina. A tam nikt dobrze nie wyglądał. Prawie wszystkie były kandydatkami do krematorium. Chore, nie mające już tak wysokiej temperatury, uderzały i szczypały się po wychudzonych twarzach, inne zdobywszy cudem szminkę, robiły sobie sztuczne rumieńce, bo i to ratowało im często życie. Czyniły wszystko, by tylko przetrwać i kiedyś wrócić do swoich.

Spodziewano się wszędzie wizyty. Wszędzie sprzątano, porządkowano i czyszczono, a zdenerwowanie wzrastało z każdą chwilą. Kilka chorych na wiadomość o selekcji dostało silnej gorączki. Polki, jeśli były na funkcjach, pomagały swoim chociaż same były strzeżone przez SS-manów i musiały wypełniać ich rozkazy.

O dziesiątej rano przyszedł na blok, na którym panowała śmiertelna cisza, chudy i wysoki „lagerarzi” z całą świtą SS-manów. Lekarz, idąc od łóżka do łóżka, patrzył na karty i twarze chorych i jednym skinieniem palca skazywał ludzi na śmierć. Sekretarka zapisywała numery i przekazywała je na inny blok. Nie wszystkie chore zdawały sobie sprawę z tego, dokąd idą i dlatego pamiętały...o paczkach.

W piekło tym cierpieli ludzie dwudziestu dwóch narodowości. Cierpienie złączało tych ludzi i choć różnymi władali językiem, rozumieli się doskonale. W duszach niewinnie więzionych i męczonych straszliwym głodem ludzi tliła iskra dziwnej mocy. Była to chęć przeżycia tego strasznego piekła, choć każda z więźniarek zdawała sobie sprawę, że z miejsca tego już nie ma powrotu.

Ceniono sobie każdy zjedzony kawałek chleba i nawet kobiety inteligentne klóciły się o najluchszą kromkę. Wszyscy dostawali równe przydziały. Bywało jednak, że córka bardziej chora, a może bardziej wytrzymała odkładała swój chleb na jutro pod poduszkę dla matki, która swój chleb już zjadła. A matka gdy poczuła chleb podłożony przez córkę, walczyła ze sobą chwilę, potem wyciągała rękę po chleb, ważyła go przez moment w dłoni i w końcu pokryjonn przed córką zjadła go łapczywie. Bywało i naodwrot: w ten sposób postępowała córka. Nikt nie myślał o innych, każdy tylko o sobie, gdyż najgorętszym pragnieniem każdej była „przeżyć”. W czasie epidemii zwyciężały chorobę tylko silniej-

sze organizmy. Z tej też przyczyny cały obóz okradł się wzajemnie.

BLOK KARNY I BLOK ŚMIERCI

Tak już w życiu ludzkim bywa, kiedy największe nieszczęścia cisną się ze wszystkich stron i człowiek staje bezradny, czekając — zda się — na łaskę Opatrzności, wówczas najmniejszy błysk nadziei budzi w nim chęć do życia i walki. Dlatego też, kiedy zapisane na śmierć numery wyniesiono, zaraz zaczęło się na izbie chorych normalne życie. Pozostałe i zdrowsze więźniarki zaczęły przede wszystkim myśleć o jedzeniu.

Więźniarki, pracujące w kuchni, „organizowały” wszystko, co się dało. Same nie cierpiały głodu i wyglądały bardzo dobrze. One to pomagały innym. Było to pierwsze źródło „organizacji”. Te zaś, które zatrudnione były przy obieraniu ziemniaków, miały już gorzej, tylko że obieraczka czasem wkładała kilka ziemniaków na piersi, czy też w majtki, upatrzyła odpowiednią chwilę, kiedy nikt nie dozorował i wynosiła je do pewnej ubikacji. Znalezienie ziemniaków u więźniarki groziło jej strasznym biciem i wyrzuceniem z lekkiej pracy. Choć praca ta nie była lekka, minła się dać nad głową, a czasem była nadzieja zdobycia kilku ziemniaków. Ziemniaki te sprzedawała więźniarka innym za chleb. Za porcję chleba dawano 9—12 ziemniaków, zależnie od wielkości. Ziemniaki po ugotowaniu dawały zwykle dwukrotny posiłek, a więc były korzystniejsze niż porcje chleba, którą się zjadało naraz, nie zaspokoivszy głodu.

(Ciąg dalszy nastąpi)